

Bajarka opowiada

KWIAT PAPROCI

Dawno, bardzo dawno rósł ogromny las, otoczony ze wszystkich stron bagnistymi łąkami. U stóp prastarych sosen, dębów i jodeł tłoczyły się krzewy i zioła tak gęsto, że trudno było przecisnąć się między nimi. Z moczarów dookoła unosiły się mgły i otulały drzewa, a wśród ponurych mroków leśnych rozlegał się ryk dzikich zwierząt.

Ludzie mówili, że ten las jest zaklęty.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien chłopak, który wracał z jarmarku wieczorem, zabłądził w owym lesie. Ten chłopak nazywał się Dzieciół. Był to leń i próżniak. Zamiast wziąć się do roboty, marzył tylko o tym, żeby zdobyć bogactwo jakimś czarodziejskim sposobem.

Kiedy spostrzegł, że jest w zaklętym lesie i nie wie, którędy z niego się wydostać, ogarnęło go przerażenie i pot wystąpił mu na czoło. Dookoła ciemność, posępny szum — czasem przedrze się między gałęziami słaby promień księżycy i zaraz gaśnie. Ani drogi, ani żywego ducha — brrr...

Dzieciół przedzierał się przez zarośla, żeby wydostać się z lasu jak najprędzej i drżał ze strachu jak w gorączce.

Wtem dostrzegł w ciemnościach światełko. „Ktoś tu widać mieszka”, pomyślał, „albo chłopaki, co pasą konie, rozpałiły sobie ognisko na polanie. Nareszcie nie będę sam”.

Spieszył w kierunku światełka. Ale kiedy zobaczył je z bliska, przestraszył się jeszcze bardziej. Bo to był dziwny, błada wy płomień, dołem niebieski i górą czerwony. Palił się w kotłince, biegł chwilami po ziemi i chwiał się przy tym. Nie zapalały się od niego suche gałęzie ani mech, ani nic; płomyk palił się cicho, jakby wychodził spod ziemi i świecił jakoś złowrogo.

Dzieciół zaczął uciekać. Raz po raz oglądał się trwożnie i przekonał się, że nie jeden, ale kilka takich płomyków biegnie za nim i ściga go jakby widma jakie.

Przedarł się przez krzaki na skraj lasu i gnał skacząc nad bagnem z kępy na kępę, o mało się nie utopił. Wreszcie udało mu się wydostać na czyste pole, skąd widział już światła swojej wioski.

Nazajutrz opowiedział sąsiadom, co mu się przydarzyło.

— E, przywidziało ci się ze strachu — powiedział jeden. — Skąd by się jawiły takie ognie? Uderzyłeś pewno głową o pień po ciemku i skry sypnęły ci się przed oczami, jak to bywa, kiedy człowiek dostanie w łeb.

— Nie mówcie tak, sąsiedzie, żeby jakiego licha nie obrazić — przerwał inny. — Albo to nie wiecie, że po cmentarzach i pustkowiach palą się takie zakłète światła? To upiory daremnie szukają spokoju, a czasami zwodzą ludzi umyślnie.

— A ja wam mówię, że tam był skarb zakopany! — zawołała starucha, o której szeptano, że jest czarownicą. — Jakby Dziecioł nie uciekł, tylko oznaczył to miejsce jakim kołkiem czy kamieniem, mógłby tam wrócić i znalazłby takie bogactwo, że wystarczyłoby mu go do końca życia.

Odtąd chłopak nie miał spokoju. Wciąż przemyślał o zaklętym lesie, o dziwnym płomyku i o skarbie. Jak się do niego dostać? Bał się tam wrócić, a coś go ciągnęło.

Chodził tak któregoś dnia po swoim dziedzińcu i dumał, wtem coś w studni zaszumiało i wyskoczył z niej cień nie cień — sam diabeł.

Na peruce z warkoczykiem miał nasadzony trójgraniasty kapelus, a spod kusego fraczka wystawał mu ogon.

— Ojej — wrzasnął Dziecioł — a to co za jeden?

— Nie bój się, chłopcze — przemówił diabeł spokojnie. — Ja sobie chodzę po okolicy, bo mój pan kazał mi nakupić jak najwięcej dusz.

— Jakich dusz?

— Takich, jakie się trafią: dusze pijaków, nierobów, złodziejów, jak się zdarzy.

— Czemuż to od samych nicponiów waść dusze kupujesz?

— Bo porządni ludzie nie chcą mi swoich dusz sprzedać.

— Dużo za nie waść płacisz? — dopytywał się Dziecioł dalej.

— Ho, ho, pieniędzy nie żałuję! Dla mojego pana pieniądze to jak trociny, tyle ich ma. Zapisz się do nas na wieczną służbę, to i tobie nie zabraknie złota.

— A ile byście mi dali za moją duszę? — zapytał Dziecioł rozłakomiony.

— Dam ci skarb zaklęty w lesie — obiecał diabeł.

Dziecioł zawołał:

— Zgoda! Przynieś mi ten skarb.

— Nie, to ty sam musisz go wykopać — powiedział diabeł. — Ale ja ci doradzę, jak masz się do tego wziąć. Tylko wpierw przysięgnij, że twoja dusza będzie moja.

— Przysięgamy! — zawołał Dziecioł nie myśląc o tym, co mówi i że sam siebie gubi na wieki, tak go chciwość zaślepiała.

— No to idź do czarownicy, która mieszka za wsią w chatce na uroczysku. Powiedz jej, że ja cię przysyłam, a ona ci wytłumaczy, co masz zrobić.

To powiedziawszy diabeł podskoczył, wywinął koziołka w powietrzu, grzmotnął się o ziemię, aż płomień buchnął. I znikł.

Nazajutrz skoro świt poszedł Dziecioł do czarownicy. Mieszkała ona w chatce na pustkowiu. Dookoła piasek i kamienie, tylko z rzadka to oset roślinie, to piołun. Na dachu kraczą wrony i kruki.

Dziecioł cisnął w nie kamieniem, ale kamień odbił się od dachu i uderzył go w czoło, a inne kamienie, te, które leżały przy drodze — wyśmiewały się z chłopaka, że nie trafił.

Dziecioł wpadł w złość i zaczął te kamienie kopać nogami i deptać. Wtem ktoś zaskrzęczał z góry:

— Nie krzywdź moich dzieci!

Dziecioł podniósł głowę zdziwiony i zobaczył czarownicę, która krzyczała na niego wyglądając z komina:

— Jeżeli masz do mnie sprawę, to rozbierz się, włóż ubranie na wywrót i wleź do chaty na czworakach tyłem!

Dziecioł tak zrobił. W chatce czarownicy fruwały same skrzydełka, a główki z dziobkami siedziały na żerdkach. Wszystko to szczebiotało i piszczalo aż strach.

— Cicho mi tam! — wrzasnęła czarownica na ptaki i zapytała Dziecioła: — Czego chcesz?

Chłopak powiedział, z czym przyszedł. Czarownica nie chciała o niczym słyszeć, póki Dziecioł nie odbędzie trzech prób.

— Najpierw masz mi nanosić tyle wody na paznokciu serdecznego palca, żeby to wiadro było pełne — rozkazała.

Dziecioł poskrobał się po głowie i zaczął nosić wodę na paznokciu. Nosił trzy dni, upadał ze zmęczenia, ale napełnił wiadro.

— Teraz zbieraj piasek przed moją chatą, ziarnko po ziarnku, i ustaw mi z niego słup wysoki aż pod sam komin. Ale uważaj, żeby wiatr nie zwiął ani jednego ziarnka!

Dziecioł taki był chciwy skarbu, że i to potrafił zrobić.

— Teraz idź do lasu i policz, ile w nim jest liści — kazała czarownica.

„Jakże to zrobię, żeby się nie pomylić i nie opuścić ani jednego listeczka?“, myślał Dziecioł zafrasowany. Usiadł pod drzewem i dumał, a im dłużej myślał, tym bardziej rozumiał, że temu zadaniu nie podoła.

Wtem usłyszał nad sobą pisk i zobaczył gniazdo sikory. To jej pisklęta dopominały się o jedzenie. Dziecioł był rozdrażniony i z tej złości chciał zrzucić na ziemię gniazdo z pisklętami. Ale sikorka zawołała:

— Nie rób tego, zmiłuj się, bo mi dzieci pozabijasz! Oszczędź je i odejdz spokojnie, a ja ci się odwdzięczę.

— Dobrze — powiedział Dzięcioł. — Policz, ile jest liści w lesie, to nie zrobię wam nic złego i odejdę.

Sikorka zwołała wszystkie ptaki leśne. Jak zaczęły razem z nią liczyć, to już po godzinie skończyły.

Sikorka przyfrunęła do swego gniazdka i zaszczebotała:

— Liści w lesie jest milion milionów i jeszcze połowa tego i jeszcze ćwierć tej połowy. Kto nie wierzy, niech sam policzy i sprawdzi.

Dzięcioł wrócił do czarownicy, a ta go pochwaliła:

— Zuch z ciebie. Ja wiem, że liści jest właśnie tyle, ile mówisz. Teraz powiem ci, w jaki sposób możesz znaleźć skarb. Weź łopatę, siekierę i worek, a także białą chusteczkę. Idź w wigilię świętego Jana do lasu, rozłóż chusteczkę pod paprocią i czekaj. Nie zaśnij aby i nie bój się, kiedy będą ci się ukazywać przeróżne strachy. Patrz uważnie na paproć, bo ona tej nocy zakwitnie, otworzy się na niej jakby gwiazdka świecąca. Nie dotykaj tej gwiazdki, tylko strząśnij ją ostrożnie na chusteczkę i zawiń starannie. Będiesz wtedy panem skarbu. Jak się to stanie, tego ci nie powiem, przekonasz się sam. Ale pamiętaj, żebyś się za siebie nie oglądał, kiedy będziesz niósł skarb do domu, bo pieniądze zamieniłyby się w trociny.

Dzięcioł z wielką niecierpliwością doczekał się wigilii świętego Jana, kiedy to obchodzą sobótki. Wtedy poszedł do lasu, chociaż bał się okropnie. Noc była ciemna. To sowa huczała mu nad głową, to skrzeczały żaby na bagnach, to wilki wyły w głębi lasu, to wąż zasyczał w krzakach... A wichur szamotał gałęziami drzew, które szumiały złowrogo.

Przerażony Dzięcioł rozłożył chusteczkę pod paprocią, zaczął się i czekał.

Nagle wszystko ucichło. Cały las jakby zamarł, a na jednej z łodyg paproci zapłonęła prześliczna gwiazdka.

Dzięcioł ukląkł i ostrożnie potrząsnął paprocią. Gwiazdka zamigotała, ale nie spadła. Potrząsnął drugi raz — spadła na listek, stoczyła się po nim jak iskra i zawisła na krawędzi. Potrząsnął trzeci raz — gwiazdka spadła na jego chustkę.

Chłopak chwycił chustkę za wszystkie cztery rogi, zawiązał ją prędko i schował w zanadrze.

Wtedy coś dziwnego zaczęło z nim się dziać, jakby mu spadła z oczu zasłona, jakby mu się one otworzyły na wszystkie tajemnice przyrody.

Rozumiał już teraz, co wyje wilk i co skrzeczą żaby, rozumiał nawet szum wichru i migotanie gwiazd na dalekim niebie. Czuł w sobie jakąś moc niezwykłą. Wiedział, że odtąd może przemienić się, w co zechce: w skałę, w roślinę czy w zwierzę, a nawet w innego człowieka. Czuł, że będzie mógł rzucać czary także na innych ludzi.

Potrafił teraz wypatrzeć wszystko, co zaryglowano w skrzyniach czy zamurowano, czy zakopano w ziemi. Nie przeszkadzały mu w tym nawet ciemności nocne.

Poszedł natychmiast w głąb lasu. Bez trudu odnalazł to miejsce, gdzie był zakopany skarb. Nie bał się już teraz płomyka, który nad nim tańczył, tylko śmiało uderzył rydlem w ziemię.

Wtem ziemia zadrżała jak żywa, a w jej głębi coś jęknęło głucho, jakby chciało ostrzec Dziećcioła: „Nie rób tego, chłopcze!”

On nie zważał na nic. Odrzucił ziemię i drugi raz uderzył łopatą. Wtedy cały las zagrzmiął straszliwym rykiem, piskiem i wyciem, jakby odezwały się naraz wszystkie zwierzęta leśne.

Dziećcioł zadrżał i włosy zjeżyły mu się na głowie. Ale uderzył łopatą po raz trzeci.

Wtedy usłyszał tętent tysięcy kopyt, rzenie i kwik koni, dudnienie wozów, trzaskanie biczów i okrzyki:

— Z drogi, bo cię przejedziemy!

Ale Dziećcioł nie zapomniał, co mu powiedziała czarownica, i kopał dalej, choć serce zamierało w nim ze strachu.

Syczały na niego węże i oplatały mu się dookoła ramion. Smoki szczyrzyły zęby i ziały ogniem z paszcz. Olbrzymy jak dęby groziły mu maczugami. Ale Dziećcioł, oblewając się potem, kopał poty, aż łopata szczęknęła o coś twardego.

Buchnął płomień i zgasł. Księżyc wyjrzał zza chmur. W lesie zrobiła się taka cisza, jakby nie było przed chwilą tych wszystkich strachów i hałasów.

W promieniach księżyca błysnęła w dole pokrywa ogromnego kotła. Dziećcioł zeskoczył w głąb dołu. Kocioł był szczelnie zalutowany. Dziećcioł musiał rozbić go toporem.

A wtedy błysnęły mu złote dukaty.

Czerpał pełnymi garściami i nasypał do worka tych pieniędzy, ile tylko mógł udźwignąć. Potem zasypał dół ziemią dla niepoznaki, bo chciał wrócić kiedyś po resztę skarbu.

Zarzucił z trudem ciężki swój worek na plecy i ruszył ku domowi nie oglądając się za siebie.

Ledwo wyszedł z lasu, usłyszał za sobą tętent koni i okrzyki:

— Łapać złodzieja! Chwytać go!

Przerażony Dziećcioł co prędzej zamienił worek ze złotem w pieniek, a siebie samego w muchomora. Pokrzykując przebiegli obok niego dzicy jeźdźcy na koniach czarnych jak sadze i pognali dalej, błyskając szablami.

Wtedy pieniek stał się znowu workiem, a muchomor człowiekiem. Dziećcioł chwycił worek i powlókł się dalej co sił.

Już doszedł do połowy drogi, kiedy usłyszał za sobą tętent i wrzask nowej pogoni, a strzały z łuków zaczęły ze świstem szyć krzaki.

— Mamy go! — krzyczeli goniący. — Mierz dobrze, nie żałuj! Zabijemy go i stratujemy!

W jednej chwili Dziecioł przemienił się w dąb, worek zamienił w barć, a pieniądze w pszczoły. Goniąca go chmara łuczników pognęła dalej, a Dziecioł wrócił z workiem i pieniędzmi do zwykłej postaci i powłókł się dalej.

Już był blisko swojej wioski, kiedy ze wszystkich stron huknęły strzały z muszkietów. Chociaż nieprzyjaciół zasłaniały krzaki, Dziecioł poznał, że jest otoczony. Rzucił przed siebie kamień i rozlało się jezioro. On sam przemienił się w łódź rybacką, worek zamienił w ceber z wodą, a dukaty w pływające w cebrze karasie.

Zbiegli się nieprzyjaciele z dymiącymi jeszcze strzelbami, popatrzyli na jezioro, poszwargotali w niezrozumiałym języku i zawrócili, skąd* przyszedli.

Dziecioł znowu dźwignął worek. Świtało już, więc westchnął z ulgą, bo wiedział, że razem z nocą i strachy też przeminą.

Już Dziecioł staje we wrotach swojej chaty, już jest we drzwiach i za klamkę chwyta... Wtem słyszy za sobą głos Macieja, swego sąsiada:

— Hej, Dziecioł! A pokaż no, co tam dźwigasz nocą po kryjomu !

Rzucił się Dziecioł naprzód i zawadził workiem o hak. Usłyszał, jak worek się rozerwał, a dukaty z brzękiem posypały się na ziemię.

Wtedy nie wytrzymał, zapomniał o przestrodze czarownicy i odwrócił się. Ukląkł i chce zbierać rozsypane dukaty — a tu zamiast złota pełno trocin dookoła.

Przed nim stoi znajomy diabeł w kusym fraczku i śmieje się szkaradnie...

Przerażony Dziecioł upadł zemdlny.

Leżał tak do białego dnia. Kiedy otrzeźwiał i zajrzał do worka, zobaczył w nim też trociny. Po dukatach nie zostało ani śladu. Wziął głowę w ręce i gorzko zapłakał.

Odtąd Dziecioł unikał ludzi i mówiono o nim, że jest „pomyłony”, bo wciąż tylko mamrotał:

— Sprzedałem duszę, a gdzie moje złoto?